Tygodnik literacki
literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

No. 27. POZNAŃ, DNIA 2. LIPCA. **1842.**

Literatura zagraniczna.

Geschichte der Philosophie seit Kant
von
Dr. Chr. J. Braniß.
Erster Theil. Einleitung, enthaltend eine Uebersicht der philosophischen Entwickelung in der alten und mittlern Zeit.
Breslau, bei Joseph Max und Comp. 1842.

Autor potęgą gieniuszu samodzielne stanowisko w świecie filozoficznym, oparte na własnym systemie w metafizyce objawionym, zajmujący, skreśla w niniejszym pierwszym tomie sam wstęp tylko do zamierzonéj historyi filozofii od Kanta. Sprawiedliwie, że nam tak obszernie i tak dokładnie przedstawia rozwój idei filozoficznéj w dwa odrębne, a nawet ideowo-sprzeczne okresy ujętéj i wcielonéj, sprawiedliwie, że nas po organicznym wątku myśli filozoficznéj w starożytności i w średniowiekowości zmanifestowanéj, nie przeskakując żadnego ważniejszego przechodowego momentu, będącego integrującą częścią pasma jednéj i téj saméj idei, doprowadza aż do trzeciego okresu, najwydatniéj w Kancie swój punkt wyjścia znajdującego, a dotąd jeszcze nad swém zadaniem, to jest, nad spośrednieniem i nad pogodzeniem dwóch pierwszych sprzecznych okresów pracującego; sprawiedliwie nakoniec, że, lubo nie jest zwolennikiem Hegla, ideę tegoż, historyą filozofii używotniającą, głęboko przecież pochwycił, i ją trafnie i artystycznie przez labirynt pojedyńczych pojawów, chaotycznie po całych wiekach rozrzuconych, przeprowadza, gdyżby inaczéj historya filozofii, która się w obecnym trzecim peryodzie wciąż jeszcze wysnuwa i realizuje, bez jasnego pojęcia dwóch pierwszych podstawniczych okresów, to jest, starożytnego i średniowiekowego, stanowiących organiczne a przeto konieczne fazy, jakie duch filozofujący z natury swojéj przejść musiał, tylko powierzchownie, niedokładnie, bezwzględnie na całość, a więc ułamkowo pojętą być mogła. Filozofia bowiem jest, jak to gienialny Cieszkowski w rozprawie o filozofii jońskiéj, w Bibliotece warszawskiéj umieszczonéj, prawdozgodnie wyrzekł, podobną do rośliny przebiegającéj rozmaite stadia rozwoju swego, i w tym urozmaiconym ruchu pełność i jędrność swego życia manifestującéj. Dodałbym tylko, że filozofia jest rośliną wieczną, która na niwie nieskończonego ducha ludzkości bez końca rozwijać się musi, która nigdy wszystkich faz swojéj exystencyi nie zużyje, która coraz głębiéj swemi korzeniami w łono natury wnikając, swemi bujnemi nadrostkami coraz wyżéj ku niebu się popnie. Mając zaś i na dół i w górę nieskończoną i niczém nieścieśnioną, i chyba tylko samą nieograniczonością i nieskończonością ograniczoną przestrzeń ku rozwijaniu się, musi i w swém bytowaniu być nieskończoną i nieograniczoną.

Twierdzenie, że filozofia w Heglu swéj całości, a przeto swego końca dosięgła, dowodzi tylko, że ci, co tak utrzymują, przed tym ogromnym myślowym kolosem w zadumieniu i zachwyceniu *nec plus ultra* wykrzykując, już się sami z siebie z podziwienia i radości nie posiadają, i ducha w bierności tak olbrzymiorozlegle czynnéj pogrążają, że o samodzielnéj czynności zapominają, a nawet koniecznie przynajmniéj na tak długo zapomnieć muszą, dopóki tego wszystkiego nie strawią, co Hegel wytrawił.

Bezzasadność mniemania, jakoby filozofia w Heglu na swoim szczycie, na swoim punkcie kulminacyjnym stanęła, nie tylko *a priori* wykazać można, zastanowiwszy się nad tém, że kraj ducha filozofującego, żadnych granic nie uznającego, nie da się zagraniczyć choćby najogromniejszemi słupami wiedzy filozoficznéj w potoku czasu wbitymi, na którychby despotyczny

ukaz: *dotąd a nie daléj*, wyryty, dalszy pochód ducha wstrzymywać mógł; ale nawet *a posteriori* już to Cieszkowski wykazem niedokładności w Heglowém pojęciu historyi, już to Braniss niwecząc czcze *Nic* i martwe *Bycie* Hegla pełném i życiopłynném czynowaniem (Thun), już to w końcu pośród apostołów Hegla zmartwychwstały Szelling, dostatecznie dowodzą, że Hegel, ów Napoleon myśli, swego kontynentalnego systemu światu duchowemu, będącemu niestałym, a przeto żyjącym, tak narzucić nie zdołał, jak cesarz Francuzów, chcąc wyspy, z których się przecież jedynie kula ziemska składa, w system kontynentalny ująć, czystą utopią zrzeczywiścić zamierzał.

Wracając się do tego, że filozofia jest rośliną duchową, w czasie coraz więcéj się rozrastającą i rozwijającą, trzeba przyznać, iż Braniss niemógł samego jéj szczytu, tylko w teraźniejszość swemi konarami się rozkładającego, bez dotknięcia jéj korzeni i pnia, opisywać, gdyżby nam był wystawił coś podobnego do zamku napowietrznego, bez podwalin, a nawet bez gruntu. Jeżeli zaś w innych szczegółowych umiejętnościach wymagamy genetycznego rozwijania myśli naukowéj, tém więcéj w przedstawie jakiéj szczegółowéj części filozofii żądamy dokładnego wykazania jéj względności do całości; z tąż bowiem będąc organicznie zrosłą, z nią téż tylko w związku i w niéj w całém swojém znaczeniu i w całéj swojéj treści, treścią całości przesiąkłéj, poznaną być może.

Ztąd to nasz autor pisząc historyą filozofii od Kanta, zniewolonym był do napisania całego tomu, za wstęp do właściwego przedmiotu służącego, w którym, na 6 rozdziałów dzielącym się, wystawia:

1. Stanowisko pojmowania.
2. Historyczne przygotowanie filozofii.
3. Grecką filozofią.
4. Ukończenie się starożytnéj historyi.
5. Chrześciańską ideę.
6. Scholastyczną filozofią.

Po rzucie tych kilku ogólnych myśli, przystąpmy tedy do szczegółowego rozbioru rozdziału pierwszego.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

Ueber den gegenwärtigen Zustand der böhmischen Literatur, und ihre Bedeutung, von Leo, Grafen von Thun. Prag 1842. 91 S. 8°.

Przez prof. Purkiniego.

(*Dokończenie.*)

„A wy współziomkowie moi, którzyście dotąd na wzrost języka i literatury czeskiéj podejrzliwém i pogardliwém okiem spoglądali, lub może nigdy jeszcze na nie uwagi nie zwrócili, przystąpcie do dążności, godnéj waszego szacunku, przyczyniającéj się niezmiernie do postępu waszego ludu, co dla wielkiego państwa, do którego należym, korzyść tylko przynieść, a nawet rozwiązanie kwestyj, tyczących się całéj Europy, przyśpieszyć może! Jeżli dążność tę nie wszyscy do niéj należący pojęli tak, jak my ją wystawić usiłowali, jeżli tu i ówdzie nierozsądna przesada, samolubne stronnictwo, śmieszna drażliwość, lub niedorzeczna przechwała, szpecą jéj szlachetną postać, niedozwólcież, aby słabości natury ludzkiéj dobrą sprawę wykrzywiały. Chceszli od niedorzeczności niedojrzałego rozumu i wybujałego uczucia młodzieńca ochronić towarzyszy jego, pochwyć to, co jest dobrém i szlachetném w dążeniu jego, a im więcéj ożywić w nim to potrafisz, tém bardziéj nauczysz go wstydzić się własnych obłędów, tém więcéj zaufanie jego pozyskasz, a tém samém władzę kierowania nim osiągniesz."

„Wy zaś, kochani przyjaciele, którzyście podźwignęli środki naturalne kształcenia ludu waszego, gdy od wszystkich zdały się bydź zapomnianemi; którzyście sprawy literatury jego, zapomnianéj i zaginionéj już prawie, z niezachwianą stałością bronili, w zamiarze szlachetnym nią kierowali, spodziewajcie się pewnéj nagrody! Bóg, który pomnożył już liczbę spółpracowników waszych, a przez działalność waszę nie jednę myśl wzniosłą rozkrzewił, nie jedno szlachetne serce ożywił; który dozwolił wam pokazać czynami, co kiedyś nadzieją tylko dla was było, On i na przyszłość dążenie wasze pobłogosławi. Zasmuca was jeszcze niekiedy widok środków niedostatecznych do tak wielkiego celu; lecz uważcie tylko, że jak dawniéj, tak i teraz, usunięcie zawad niektórych ani podobném było, ani téż życzyć go sobie nie powinniśmy, dopóki język i literatura czeska nie wykształci się znowu i nie wzniesie do pewnego stopnia; że nadto widzimy jak, o ile ona się wznosi, w równéj mierze wszystkie inne stósunki więcéj przyjazną przybierają postać. Pamiętajcie na to, że powoli dojrzewać powinno,

co plonować ma i pamięć na przyszłość niech ożywi upadające męztwo.“

Czas wsze mieni, i czasy:
k witieziwi on wede prawdu!

(*Slawy dcera.*)

(Czas wszystko zmienia, i czasy: do zwycięztwa wiedzie on prawdę.) (Kolara Sławy córa.)

Rozstajemy się z zacnym autorem, przejęci uszanowaniem dla jego prawdziwie narodowego sposobu myślenia, życząc mu, aby jego wyborne słowa, pochodzące z serca i rozumu, do wielu także serc trafiły, od wielu przejętemi były; aby się stały nasieniem do nieskończenie płodnych czynów. Cieszymy się, że i w Austryi nadeszła chwila, gdzie mowa taka, jaką to pisemko zawiera, jakby w parlamencie, przed publiczność wystąpić może.

Oby się to stało hasłem do dalszych roztrząsań najważniejszych stósunków ogółu. Niech odezwą się natenczas głosy przeciwne: odpowiedzi na nie pewno nie zabraknie, a prawda i zasady praktyki zyskać tylko na tém mogą.

Publiczności polskiéj zalecamy bardzo, czytać pismo to, aby w zwierciadle pobratymczego ludu własny swój lud poznała, pocieszyła się na przyszłość tém, że postęp ludzkości niezachwiany jest, a namiętne wybryki ani go nie przyspieszą, ani go téż wstrzymać nie zdołają. Oby nie odstępowała środków utrzymujących i podniecających narodowość, aż nadejdzie czas dojrzałości, w którym przy świetle ogólnéj oświaty każde nasionko, każde uzdatnienie wzrost swój znajdzie.

W Wrocławiu pisałem.

Purkinie.

Literatura krajowa.

Karykatury historyczne,

udzielone redakcyi przez J. J. Kraszewskiego.

Albertus.

Część druga.

(Ob. Tyg. lit. tom I. str. 354.)

Powrót z wojny.

(*Dokończenie.*)

„Cóżto mówisz o kalafaktorach?“

„Ale to Pater nie rozumiecie mnie! Było to i ze mną bywało na wojnie, ile razy wołają kawalkatora, to ja się ozwę, myśląc, że mnie potrzebują, wiedząc, że przy szkole sufletą byłem. Naśmialiż się ze mnie, ażem się dowiedział, że to co innego.“

„A cóżto znaczy?“

„Tento, co koni ujeżdża. Mówiłem zasię, iż ich niepotrzebują ci, co się sami tém bawią, a czasu przy kuflu nie marnują i sumienia sobie grzechami nie plugawią.“

„Prawda, bo z czystém sumieniem większe i męztwo. A kogo ono wewnątrz jak kat piecze, nie dostoi placu. A ci pono, co najwięcéj przy kuflu czynią hałasu, najgorsi na wojnie.“

„I uśmieją się téż z tych burków, co zuchy na biesiadzie, a z placu tył podają. I mnie się coś podobnego zdarzyło, bom i ja zuch był, a nie raz za łby się wodził z żaki w szkole Wszystkich Świętych, i zdało mi się, żem mężny jak i drugi; posłyszawszy zaś, że się z Turki potykają, niemogłem serca znaleść. Bo jak to się bić z kim bez zwady, bez kłótni, spotkawszy się w polu, niewiedzieć czego? to mi się niepodobało.

„Dobrześ czynił, żeś był ostrożnym, ale gdzież wojnę widziałeś, kiedyś jéj unikał, a tak o niéj dobrze dyszkurujesz? Ja mniemałem, żeś ty się gdzie zadzierał z Turki?“

„A chcecie wiedzieć? póki leże trwały, to i ja byłem żołnierzem; a jak kazano na potrzebę ruszyć wszystkim rotom, przypomniałem sobie wasze rady, abym od potyczki unikał, tom ja się tam różnie chował, czasem w rów, czasem kędy u drzewa, a w ostatku wędrowałem sobie gdzie na kantoryą i jakoś cało uszedłem. Kiedy roty były znowu na leżach, to ja do nich, porzuciwszy nuty kościelne, i żywiłem się i przysłuchiwałem, jak co się kiedy czyni. A właśnie tak jako od staréj pani dziewki się uczą, tak ja od żołnierzy; a co bić się, to ja wcale nie chciałem. Na co mnie to!“

„Bardzo ci dziękuję, żeś się tak szanował! A mnie tu już herbowali, żeś ty z mego nasłania zginął, i napadali na mnie, żem cię na śmierć wystawił. Próżno im mówiłem, jakiem ci dawał przestrogi. Wykolę im teraz oczy, wykolę. Ba, a gdzieżeś ty tych łupów dostał, niebywszy w potyczkach?“

„Gdy się z Wołoch wracano, poznali mnie dwaj żołnierze w Kamieńcu, niejaki pan Janusz, a drugi pan Stach w kusym żupaniku; ci się ze mną łupem podzielili i znowu mnie ze szkoły do wojska namówili. Z ich to ja pomocą i koniam dostał.“

To mówiąc Albertus, wyjął nieco grosza jeszcze z kieszeni.

„A toż z kąd?“ zapytał ksiądz, „czy to te, com ci dał na drogę?“

„Tamtych dawno nie stało, a to ja sobie przy rotach bawiąc wyśpiewałem.“

„Tém coś się z partesów nauczył?“

„Bynajmniéj! Inneć to były piosenki, o dzbanie malowanym, albo owa dawna:

Miło więc, kiedy się zagrzewa.“

„Jest téż obyczaj śpiewać w wojsku pieśń o Bogarodzicy? mnie to ojciec stary powiadał.“

„O tém dzisiaj nie słychać. Babom ją oddali w imię Boże zamiast jałmużny. Śmialiżby się z tego, śmiali, coby im teraz Bogarodzicę przypomniał. *)

„A z czegoż tu się śmiać, śpiewali ją ojcowie nasi i dobrze im z tém było. Teraz jéj nie śpiewają, a wojsko téż broi tak, że w krótce gdy nieprzyjaciel granice poszarpie, ciury nasze mienie do reszty rozniosą. Drugi to nieprzyjaciel, żołnierz w kraju, niech nas Bóg od niego broni. Niech no by się jeno jaki pokazał, zarazbyście się na złe porozumieli.“

„Daj nam Boże owszem pana Janusza, albo pana Stacha, ochronilibyśmy cię księże od szkody.“

„Niech mnie raczéj od nich Bóg chroni, niewiesz co oni tu już porobili.“

„Ale bo bez swoich tęskno człeku, nażywszy się z towarzyszami dobrymi.“

„Proszę, jak to się natura człowiecza odmienia! Ot i ten jak się zjunaczył. Ej! Alberte, zostań ty jak bywało przy kościele, masz dobre principia, nie zagrzebuj ich. Twoje rzeczy, coś tu je porzucił, zachowane w całości; dwie linje, rastrum w kałamarzu, a responsorye w kościele. Są téż oprawne w skórę *Proverbia Salomonis* i *Katon* w pstréj kompaturze, nieruszał ich nikt, kurz tylko pokrył. Ale i z niemi i ze mną lepiéj tu już pozostań; a jeśli ci kapłański stan zasmakuje, to ci po mnie ta plebania spaść może. Zna cię pan kollator, i da prezentę pewno. Czyż to krzywda, spokojnie tu w domku siedzieć, nieznać, co swar, burda, wojna, modlić się Panu Bogu i pracować. Rychléj kamień obrośnie na miejscu. Mały prawda dochód, ale są akcydensa. Namyśliłżeś się zostać!“

„Ba, dobrodzieju, ale kiedy bo to się dużo na wojnie zapomniało chórału.“

„Powoli znów przywykniesz, a my cię poduczym; zostań tylko.“

„Toć zostanę do kwartału, a spróbuję.“

„A naprzód Alberte, kusą tę sukienkę precz, bo kościelni słudzy stateczne szaty mieć powinni, i szarawary te podziurawione nie ku rzeczy. Sprawićby ci jaki jednoradek za kolana, albo giermak, znajdziem to na wendecie w Krakowie, aby było za co.“

„O to mniejsza, stanie mi i na dwoje, przedawszy konia i kieścień, żeby się udało tylko do króla docisnąć.“

„A zapewne, ja ci mówię, trzeba się królowi przypomnieć, to ujdzie żołnierzowi. Dawniéj bywali królowie, co żołnierzy znali po twarzy, ale to minęło; tamci z nimi w polu, a teraźniejsi po zamkach siedzą.“

„Byleby tam żadnego marszałka nie było, bo choćby mnie i nie zaczepiali, to spojrzawszy na ich kije, chybiłbym i zapomniał mowy.“

„Rób sobie jak chcesz, ale weź z sobą Seniora od Ś. Jakuba; rychléj dwu poradzi niż jeden.“

„Dobrze. A zrobię co, niezrobię, to się przynajmniéj ze starymi kompany powitam i napiję.“

„Naprzód tylko o kościele nie zapominaj. Kiedyż myślisz jechać?“

„Z drugiéj niedzieli, jak się kęs koń poprawi, to się powlokę, tylko niewiem, w co się tym czasem oblekę.“

„I ja niespełna. Jest tam gdzieś sztuka czerwonéj rewerendy, możnaby ją tym czasem nałatać makową, ale jedno do drugiego nie przyjdzie. Tylko, że je komżą w kościele pokryjesz. Coż to ci się tak oczy lepią Alberte, niespałeś przeszłéj nocy?“

„Na konium się tłukł księże.“

„No, to resztę na jutro dopowiesz mi, gdy pójdziem w pole na przechadzkę. A gdzież to dziś się położysz?“

„Po staremu, w szkole Dobrodzieju; powitam ją starą znajomą.“

„Dobranoc ci Alberte; daj Boże jutro w zdrowiu się oglądać, a teraz w łasce Bożéj spokojnie spać.“

„*Deo Gratias.*“

J. J. Kraszewski.

---

1) Pomimo tego, co tu powiedziano w rozmowie, wiadomo, że tych czasów jeszcze pamiętano Bogarodzicę, a Bartłomiéj Nowodworski kazał ją kosztem swoim dla wojska drukować. Ale tak chce autor Albertusa, a my idziem za nim.

Albertus.

Część trzecia.

Albertus znowu klechą.

(Wyraz *Rybałt*, bez wątpienia przyszedł do nas z włoskiego, i w XVI wieku należy się domyślać, że miał takie znaczenie jak we Francyi i Włoszech, oznaczając rozpustnika, urwisa. Z początku w średnich wiekach wyrazem *Ribaldi* oznaczano ciurów, sług, wlokących się za wojskiem: „*servientes exercitus, qui publica lingua dicuntur Ribaldi*;“ późniéj dopiero (od XIII wieku) poczęto tak zwać rozpustników i łotrów. W tém znaczeniu używany był nietylko w polskim, lecz w francuzkim, angielskim i włoskim języku. Pochodzenia słowiańskiego temu wyrazowi próżnoby szukać. Jakim sposobem u nas łotr i rozpustnik, rybałt jedném słowem, zaczął się stósować wyłącznie do klechów, to tylko tłumaczyć może historya obyczajów téj klassy, którą jeszcze bliżéj poznać damy w następnym artykule, pod tytułem: *Synod klechów podgórskich.*)

Siedzieli smutni w pustéj szkole, około któréj tylko słychać było świergot wróbli, Magister i Kantor, oba spoglądali po szybach potłuczonych, i nieraz wzrok ich padał na drzwi ze szkoły do komory, służącéj im za spiżarnią, które stojąc szeroko otworem, zwiastowały, że nie było ich za czém zamykać. Wreście odezwał się Magister do Kantora:

„Pustki w naszéj komorze!“

„Tak, tak, Mości Magister,“ odpowiedział żwawo Kantor; „źle kiedy się niechodzi po wsi z biesagami, bo doma siedzieć nic nie nada, niwa nam nie urodzi, i głód będzie na rybałtów.“

„Iść by się poszło, ale z czém powrócić?“ rzekł Magister, „a jak z niczém?“

„Trzeba téż wiedzieć kędy iść,“ przerwał Kantor, powstając. „W królewszczyznach nic nie zyskamy, tylko po szlacheckich wsiach coś się jeszcze oberwać może.“

„A no to chodźmyż, sprobujmy. W Imię Boże, a Bóg dopomoże!“

Tak naradziwszy się Kantor i Magister, mieli się ku wyjściu. Klecha wdział giermak na się, a Kantor do tego biesagi jeszcze przez plecy przerzucił. Wtém stary dzwonnik drogę im zaszedł, podpierając się nasiekanym kijem.

„A kędyż to idziecie? Wracajcie no w czas, a i o nas tam pamiętajcie, bo i ja i Albertus głodem morzym się; on ci już ledwie gada, zapomniawszy gęby otwierać.“ Poszli Magister z Kantorem na wieś, pogadanką o swéj biedzie w drodze się zabawiając. A obaczywszy jednę chatę pozorniejszą nieco, weszli do niéj. Zastali tylko gospodynię za stołem z motowidłem w ręku i powitali ją grzecznie, jak na tych, co po jałmużnie chodzą, przystało.

„Pomagaj Bóg wam, pani gospodyni! jak się tu macie?“

„Witajcie księże Mistrzu i wy Kantorze. Mamy się właśnie jak groch przy drodze; a wy do nas z workiem jak widzę przychodzicie?“

Kantor żartowniś odpowiedział jéj, potrząsając biesagami:

„Czyż to wór, toć biesagi, moja miła. Szydzicie sobie z nas jak widzę.“

„Nie nasza to teraz szydzić,“ odpowiedziała wzdychając kobieta. „Ci komederaci (konfederaci) przeklęci, zabrali co było, tak iż i w biesagi niebędzie wam co dać.“

„A po kataż tu przychodzili,“ odpowiedział Mistrz; „tać to wieś szlachecka, chyba o tém niewiedzieli.“

„Oj licha tam nie wiedzieli, bylić przecie we dworze, wyłajali urzędnika, a zastawszy na płocie sieć rozwieszoną, puścili się ryby łowić w stawie. Jeszcze im dworniczka dać musiała pieprzu do ryby, żeby sobie z lichem prędzéj poszli ze dworu.“

„A gdzież to wasz gospodarz,“ rzekł Mistrz, „pewnie młóci w stodole, albo może gnój wozi z obory.“

„Żebyż było co młócić! ale dawno jak wymiótł w stodole. Trzy stacye jedna po drugiéj do reszty wybrały. I gnoju na oborze niema także, bo bydła ani sztuki. Jedno się pół darmo przedało dla żołnierzy, drugie od powietrza pozdychało.“

Skrzypnęło w sieniach i gosposia poznała męża. „Ale otoż i mój idzie, powie on wam lepiéj, jaka nam biéda, że i czeladzi niema co dać jeść.“ Wszedł stary Matys i postawił cepy w kącie. Mistrz tymczasem trącił w bok klechę i rzekł mu:

„A nu, witajże się z gospodarzem, może nam co da.“ Powstał Magister i do ręki się miał.

„Dzień dobry wam panie gospodarzu! przyszli do ciebie słudzy kościelni za jałmużną.“

„Bóg zapłać, księże Mistrzu, dam, na co mnie stanie. Nie tak to się dawniéj przed laty dawało. Ale teraz biéda, gdzie spojrzysz pustki, wszystko zjedzone, brogi próżne, po chlewach niema żywiołu. Ach bodajby się byli niewrócili z Moskwy ci szaleńcy, co nas zniszczyli.“

„Dajcież już im pokój, kiedyście ich zbyli,“ odpowiedział Mistrz.

„Ba! aleć to trzy razy do nas witali. Dziwne to lata; rodzi jak rodzi to pole, statki chodzą Wisłą, jest dostatek wszystkiego, cóż kiedy właśni nas szarpią i pokoju nam nie dają.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Goszczyński wydał przed kilku tygodniami powieść swą: *Król zamczyska*, z której wyjątki mieliśmy przyjemność udzielić dawniéj czytelnikom naszym.

Rzadkiem jest dzieło w piśmiennictwie naszém, pełne tego uroku, téj jędrności i poetyczności myśli i stylu, jak powieść, którą mamy przed sobą. W zarysach śmiałych przeprowadza autor przed nami najpiękniejszą poezyą uczuć i myśli uosobioną w Machnickim. Machnicki jest to obłąkaniec, ale obłąkaniec, przed którego pomysłami niemieją rozumy mędrków i półmędrków; idee jego wielkie, potężne, niezrozumiane od pospolitych ludzi tego świata, sponiewierane i nacechowane piętnem szaleństwa przez tych, którzy go nierozumieją — uszły od świata w ruiny zamczyska, by tam marzyć o przeszłéj wielkości, o przyszłości wspanialszéj. — Potężna imaginacya z ruin przeszłości wywołała świat cały, otoczyła się duchami wywołanymi z kości umarłych, z gruzów starego zamku, z rozwalin. Wśród nich żyje Machnicki, żyje w swoim świecie, w świecie, który sobie stworzył sam potęgą myśli, siłą wyobraźni, uczucia. Tam on panuje, tam jest królem. „Usłyszysz, jak wnidziesz między ludzi," mówi on, „co to za waryat ten Machnicki, mieć się za króla jakiéjś tam kupki gruzów! A ja ci powiadam, że każdy z nich, w swoim domu jest takim waryatem, tylko że nie mają królewskiéj mojéj duszy, królewskich moich uczuć! O! gdyby je mieli, gdyby każdy z nich był Machnickim na swojém miejscu, wiesz, coby nastąpiło? powiem ci pod wielką tajemnicą: wkrótce powstałby jeden ogromny, nieśmiertelny król. — Zapewne nie słyszałeś jeszcze o téj dynastyi? A tymczasem ona to jedynie odwiecznie tu panuje. I ja i podobni mnie, byli tylko chwilowymi jéj namiestnikami; ale Pan prawdziwy, to ona; była nim i będzie. — O będzie! Wiem to dobrze. Ale nie przez tych, których mieszkania widzisz dokoła po dolinach, porządne, wykwintne; nie! nie przez tych, a sami temu winni, ale sama przez siebie, jak jest Bóg przez Boga! A wtedy kochani moi sąsiedzi, co się dzisiaj ze mnie śmieją, zapłaczą nad sobą; sami nazwą siebie jak mnie dziś nazywają; ubiorą się sami w moją purpurę, w moją koronę, ale zapóźno; co dzisiaj zasługą, późniéj będzie karą. Moja i podobnych mnie rola zakończy się; moje tronowe ozdoby wyjdą z mody: nowy król będzie olbrzym, weźmie suknie, stósowne do swojego wzrostu. Słońce mądrości i chwały millionów będzie jego koroną, przy niéj reszta będzie wyglądać jak moja błazeńska czapka!" „Mniejsza o to," mówi w inném miejscu, „że dla świata jestem waryatem. Wolę to, niż być niepotrzebnym, niż być kamieniem. Ale i kamienie same nie są martwe. Przyjdź tylko z pełném sercem do niego, to i on da ci swoje uczucie. I on ma przeszłość, życie, nie schodzi ze swojéj drogi, wypełnia co mu przeznaczone, a między ludźmi są zimniejsi, nieczuli, niepożyteczniejsi jak kamień. Pochłonęli, strawili przeszłość, a przyszłości nie dadzą jednego tchnienia. Wszystko dla nich, nic drugim od nich. Rozbiorą ci starożytną budowę na progi do swoich nędznych lepianek, a nie przyłożą się do nowéj, spólnéj, choćby jedną cegiełką."

Takim jest Machnicki, takim główny zarys powieści, któréj i najobojętniejszy czytelnik nie odłoży z ręki bez zatrzymania głębokiego wrażenia. Wszystko tu jest wzniośle, wielkie; — wszystko potęgą myśli i uczuć rozkazuje sercu, zachwyca duszę. Wyjątki dość obszerne daliśmy, jak wyżéj wspomnieliśmy, już dawniéj czytelnikom naszym w Tygodniku, nie możemy jednak kończąc wstrzymać się od umieszczenia jeszcze słów autora w końcu powieści o Machnickim wyrzeczonych:

„Taki obłąkaniec nie powinienże być wzorem dla tłumu owych bardzo rozumnych? nie więcéjże on wart od nich? I dla czegoż on wszystko robi? Poco to życie samotności, męczarni, poniżenia? Czy dla widoków osobistych? Czy marzy o jakiéj nagrodzie osobistéj?

„Nie! pełni swoją powinność, jak drzewo rośnie, jak kwiat kwitnie, jak słońce świeci; dla drugich, nie dla siebie! Ale w oczach powszedniego świata, to właśnie jest dowodem obłąkania.

„O! gdybyście wy wszyscy takiego pomieszania dostali, ludzkość byłaby mędrsza, szczęśliwsza, niż jest teraz. Na korzyść pojedyńczych rozumów rozerwaliście mądrość ludzkości, rozbiliście na miliony brzyzgów jéj słońce, rozgrabiliście jego okruchy, zniszczyliście wzajemnie ich powinnowactwo, a przez to odebraliście każdéj cząstce jéj blask i ciepło, które wzajemném tylko zasilaniem się mogą trwać i działać, i odebraliście im cały przymiot ich nadziemskości.

„Wy się o to nie troszczycie i wy chcecie, aby te światła były tylko narzędziami osobistych waszych celów, aby tylko służyły waszym potrzebom, aby im tylko wystarczały, a wasze cele, wasze potrzeby są tak drobne, tak ciasne, tak poziome, że się obejdą bez niebieskiego światła i życia; ale jak długo się obejdą? — zobaczymy!"

Lucyan Siemieński przełożył: *Pieśni bretońskie.* „Codziennie prawie pojawiają się ogromne prace, mające na względzie bądź historyą ludzkości, bądź piśmiennictwo uczone całego świata. Nie ma pod słońcem literatury, o któréjby cośkolwiek nie wiedziano, któréjby w historyi literatur nie naznaczono pewnego kątka i nie podciągnięto pod rubryki wzrostu, kwitnienia, upadku, stósownie do systemu raz przyjętego. Ogólnéj jednakże rozprawy o wszystkich pieśniach gminnych, a tém bardziéj biblioteczki złożonéj ze zbioru pieśni, w jednym przekładzie, nie mamy i nie prędko mieć będziemy, z prostéj przyczyny, iż massie piszących badaczy trudno przełamać pociąg do szperania w dziejach królewskości, życie ludowe zdaje się dla ich pór za nizkim przedmiotem." Od tych słów zaczyna tłumacz przedmowę do zbioru pieśni, których nam obiecuje przekład, zaczynając od pieśni bretońskich. „Chęć," mówi, „odkrycia powinowactwa poezyj gminnych wszystkich narodów, przez porównanie pieśni, co do ich ducha, formy, zwrotów, wyrażeń; chęć dostania klucza do tajemnic druchowych każdego ludu (w niczém bowiem mocniéj nie odbija się jego charakter, jak w tém, co z serca wyśpiewał), przytém ogromny powab téj poezyi prostéj, zdrowéj, świeżéj, pierwotwornéj, wszystko to spowodowało mnie do podjęcia się téj pracy, na mały wprawdzie rozmiar, gdyż każdy wydział nie więcéj nad kilkanaście pieśni zawierać będzie z wstępną rozprawką, lecz w takim krótkim zbiorku, tak wybranemi zostaną pieśni, iżby na jaśnią wydawały wszystkie strony umnicze każdego ludu. Pieśni bretońskie, co do ducha i zewnętrznego kształtu, wiele mają wspólnego z balladami szkockiemi i germańskiemi, taki sam bowiem w nich smutek słodki i spokojny, co w pierwszych, a precyzya i tkliwość, co w drugich; jednakże nie ma w nich tego lirycznego pędu, co w naszych ukraińskich dumach, ani téj homerycznéj dykcyi, co w serbskich. W krótkim tym zbiorku, który nam

w przekładzie dał autor, przecudną jest ta prostota, która w pieśniach ludu zawsze i wszędzie się znachodzi. Każda pieśń taka, jest to dźwięk czarodziejski, który skołysze cię napowrót do kolebki, zrobi napowrót dziecięciem, łzy rozrzewnienia dziecinnego wywabi na źrenicę; a im więcéj razy je czytasz, te dzieci czucia nieskalanego, tém miléj lubym swym dźwiękiem pieszczą ci serce, kołyszą ucho. To rozrzewnione, to smutne, jakby dziewice tańczące w smutku, uwijają się koło ciebie i przymilają serdecznym wzrokiem, wzrokiem, który cię prowadzi od razu do saméj głębi czystéj ich duszy. Na darmo byś tam między niemi wybrać chciał, która najpiękniejsza, najpowabniejsza, bo każda innym wabi cię urokiem. Ta cudna, bo mniéj smutna; ta śliczna, bo smutniejsza! A ile to poezyi przy téj lubéj prostocie! Jakże to n. p. prosty, a jednak jak poetyczny początek téj wieszczby Gwenhlama, owego ślepego dziadka, który w smutku swym sobie nuci:

Gdy słońce zajdzie, na morzu szum,
Szeroko puszczam nutę mych dum.

Śpiewać jam lubił za jarych lat
I jeszcze dzisiaj lubię choć dziad;

Więc śpiewam we dnie, śpiewam i w zmrok,
A smutek za mną chodzi trop w trop i t. d.

Druga piosnka: „Pan Nann i Pani Korygana", wiele ma podobieństwa do dumki ruskiéj o Rusałce, co zadaje dziewczynie zagadki; a gdy ta ich nie umiała rozwiązać, załaskotała ją na śmierć. Tu młodego małżonka, Pana Nann, trafia podobna istota, Korygana; żąda, by z nią się ożenił, a za odmowę śmierć przyobiecuje. Umiera Pan Nann wkrótce, a żona, przed którą śmierć jego tajono, napotkawszy mogiłę męża:

„*Padła na dwa kolana i nie powstała z nich więcéj.*
„*Cud się tam wielki okazał: pierwszéj nocy po dniu żałosnym, w którym pogrzebiono małżonkę obok męża,*
„*Widziano, jak dwa dęby wyrosły w powietrze, zświeżo usypanéj mogiły,*
„*Jako na gałęziach para białych gołąbków trzepotała się i gruchała,*
„*Gruchała aż do brzazgu jutrzenki, a potém wzbiła się wysoko w niebiosa.*"

Śliczną, cudnie śliczną jest powieść o Baronie Zojoz (Jaujoz) i młodéj Tinie. Nie można jéj dość się naczytać, nie można dość nasłuchać się śpiewaczki, która:

„*Piorąc bieliznę u rzeki, słyszała kwilącą ptaszynę śmierci:*
„*Tino! biedna Tino! Baron Zojoz cię kupił.*"
O matko moja, prawdaż, co mi powiedziano? prawdaż, że Baron Zojoz mnie kupił?

I prawdą jest, że Baron Zojoz kupił biedną Tinę od brata jéj i wsadzono ją na konia, by zawieść Baronowi Zojoz Tinę. Pięknem jest szczególnie miejsce, kiedy uwiezioną:

„*Ledwie co wyjechała za wieś, brzęk dzwonów doleciał:*
„*Wtenczas zaczęła płakać: Bywaj mi zdrowa święta Anno!*
„*Bywajcie zdrowe dzwony moje rodzinne, dzwony mojéj parafii bywajcie zdrowe!*"

Daléj kiedy z tęsknoty za rodzinną chatką owdowiałe jéj serce modli się do ptasząt, by zaniosły pozdrowienie rodzinie, przebaczenie bratu, jakże to tkliwie i rzewnie prosi:

„*Dobre ptaszęta co tam lecicie, proszę was, posłuchajcie mojego głosu:*
„*Lecicie do mojéj wioski, ja tu zostaję; weselicie się, jam smutna!*
„*Pozdrówcie tam moich rówienników odemnie,*
„*Pozdrówcie matkę, co mię na świat wydała; ojca, co mnie wychodował;*
„*Matkę, co mię na świat wydała; starego plebana, co ochrzcił.*
„*Pozdrówcie wszystkich a wszystkich, bratu mojemu przebaczenie zanieście!*

A nakoniec nocy jednéj, kiedy wszystko spało w domu jéj rodziny, kiedy nic się nie rusza w chacie, ni w komorze, jeden tylko głosek odezwał się słodko podedrzwiami:

„*Mój ojcze, matko moja, na Boga was zaklinam, mówcie za mną pacierz,*
„*Mówcie pacierz, weźcie żałobę, wasza córka w trumience!*"

Równie pięknemi są: piosnka o *słowiku*, o *bladéj Azenorze*, o *bracie mlecznym*, o *srebrnym zwierciadełku* i t. d., a trudny, jak już powiedzieliśmy, wybór między niemi, gdy powiedzieć przyjdzie, która piękniejsza, bo rozmiłowanéj duszy i wyrazu zabraknie. Z utęsknieniem przeto wyglądać będziemy dalszych zeszytów przekładu pieśni ludów, któremi nas obdarzyć przyobiecał autor.

Pieśni bretońskie podzielone są na trzy oddziały: historyczne, miłosne i religijne, tłumaczone ze zbioru Pana Villemarque.

Nie możemy odżałować, kończąc, iż wydanie pieśni tych zbyt liche; nie mówimy, co do braku ozdób, bo tych mu nie potrzeba, ale dla niepoprawności, mnóstwa błędów drukarskich i wypłowiałego druku. Jakkolwiek bowiem piękna treść zostaje zawsze piękną, choćby w odzieniu najlichszém, nieporządna jednak wierzchnia szata niemiłe od razu czyni na czytelniku wrażenie; a dopiero w dzieło wczytać się, trzebaby zapomnieć o powłoce, gdy tymczasem powierzchowność choć nieozdobna, ale porządna, zachęca czytelnika i już niejako za dziełem przemawia. Tak więc jak żal jest, kiedy pod piękną okładką, w porządném, poprawném wydaniu, znajdziem myśli ladajakie; z drugiéj strony zdaje nam się być zniewagą dzieła dobrego i pięknego ladajakie go wydanie, jakiém to wydanie P. Stefańskiego pełne błędów drukarskich, na papierze kiepskim i tuszem wypłowiałym drukowane.

Reńska gazeta w jednym z swych ostatnich numerów zawiera o zaćmieniu słońca z dnia 8. Lipca następującą trafną uwagę, która pewnie z pióra zacnego autora: Unpolitische Lieder, wypłynęła. Styl przynajmniéj i układ całkiem mu właściwy:

Sind gewaltig abergläubisch, — fanden's drum höchst sonderbar,
Daß die Finsterniß in manchen Gegenden total just war,

Und sie war's im türk'schen Reiche, war's in Rußland, Rom und Wien;
Ganz Hannover lag im Schatten und beträchtlich auch Berlin.

Gdyby to Tygodnik miał takich jak Gazeta reńska cenzorów! (Pia desideria!)

Kuryer warszawski przy doniesieniu o śmierci syna króla francuzkiego, zwraca uwagę swych czytelników na wynalazek Abr. Sterna, który i redaktorowi, chociaż ten starał się z wszystkiemi wynalazkami tego polskiego Lippmana zapoznać, obcym był. Zmarły Abr. Stern wynalazł przed kilku laty mechanikę zabezpieczającą jadących od nieszczęśliwych skutków rozbrykania się koni; za pomocą tego wynalazku, jedynie za pociągnięciem sznurka przez woźnicę, lub siedzącego w samym pojeździe, konie nawet w największym pędzie będące odłączają się z dyszlem i orczykami, powóz zaś zostaje w miejscu. Wzór tego wynalazku znajduje się obecnie u P. Słonimskiego, zięcia zmarłego Sterna, w Warszawie.

Z prawdziwą przyjemnością donosimy, iż P. Dobrzyński ma zamiar wydać wkrótce „Zbiór pieśni sielskich", swéj kompozycyi. Obeznawszy się z kompozycyami P. Dobrzyńskiego, cieszymy się, że właśnie ten rodzaj, w którym celuje, obrał, i moglibyśmy prawie już naprzód zaręczyć, iż będą śliczne. — Pan Kolberg, którego pięknych Pieśni ludu pierwszy zeszyt jest pod prassą, wyda wkrótce: „Cztery Kujawiaki" i Etudę. Pierwsze przez swą czystą polską melodyą, a Etuda przez gruntowne wypracowanie odznaczają się.

W Przemyślu wyszło „Studjum codzienne", pełne niedorzeczności. Że też dotąd nikt nie zabrał się do napisania *rozsądnéj książki* do nabożeństwa. Redakcya Tygodnika myślała już dawno o tém; lecz wie, ile przeszkód zwalczyćby dziś musiała z strony duchowieństwa, nimby książkę mogła wydać dla ludu — i dla tego lepszych czasów oczekuje.

W Prusach furore zrobiło dzieło Bülowa-Cummerow i doczekało się trzeciego wydania. I my czytaliśmy je i podzielamy całkiem zdanie najlepszego, najgodniejszego z wszystkich pism niemieckich: „Deutsche Jahrbücher." Pana Bülowa dzieło składa się z czterech części, pierwsza: Preußens politische Stellung und Entwickelung; druga: Verfassung; trzecia: Verwaltung; czwarta: Preußens Verhältniß zu Deutschland. — Redakcya pisma, — które dość niemożemy zalecić czytelnikom naszym, bo jest w teologiczno-filozoficznym względzie uzupełnieniem, że się tak wyrażamy, pisma naszego — mówi o tém dziele: „Im ersten viel Tiraden, im zweiten viel Aristokratie, im dritten viel Ideologie, im vierten viel Gemeinplatz." Jak trafnie!

Wielmożny Pan Trentowski napisał dla Orędownika artykuł o Szellingu. Radzimy w sprawie naukowości, aby pilnie deutsche Jahrbücher, pisma Bruno Bauera czytał, strawił ideje te, a w ów czas nie będzie występował z rozprawami, które w oczach ludzi postępowych w Niemczech, równie jak u nas, śmiech wzbudzają i tylko oznaczone mogą być przysłowiem: „Wyrwał się jak Filip z konopi." Pan Trentowski ni Polak, ni Niemiec, właśnie na polu filozofii bardzo, bardzo ostrożnym był być powinien.

Król bawarski powziął zamiar wystawienia ku uświetnieniu pamięci sławnych Niemców, począwszy od Hermana aż do naszych czasów, wspaniałego budynku, który nosi nazwę Wallhalla i w którym sto kilkadziesiąt popiersi sławnych *Niemców* będzie postawionych. Między tymi *Niemcami* jest i **nasz** *Kopernik*. Król bawarski, mimo swego naukowego wykształcenia, musi jednak mało znać historyą. Coby też Kopernik powiedział, gdyby ożywszy, widział się w towarzystwie jakiéjś św. *Emerandy*, którejby „einen guten Morgen", jeżeli galant, powiedziećby musiał; gdyby w towarzystwie jakiegoś Martina Harpertzoon Tromp i t. d.

Ta Pani, co to wydaje „Dwór wiejski" w drukarni Orędowników, i co to naszym kobietom od *Francuzek* chce uczyć się dać gospodarstwa (opisujemy ją tak, bo obawiamy się, aby przez zmienienie tytułu z wojewodziny w wojewodziankę, albo z wojewodzianki w wojewodzinową i t. d., bo my się na tytułach nie znamy, nie zasłużyliśmy sobie na jéj wojewodziańskie niezadowolenie); ta więc Pani wypaliła w senatorskim Orędowniku artykuł, w którym nam i światu donosi, iż prócz powieści pisarki *Anny* Nakwaskiéj, istnieje jeszcze jedna Nakwaska, która ma zaszczyt, jak powiada, być jéj synową. Przepraszamy, przepraszamy! że sądząc z powieści P. Nakwaskiéj (urodzonéj X., bo nie pamiętamy) sądziliśmy, że ona tylko mogła wpaść na myśl, aby mdłe, jak jéj powieści, Francuzki, miały *uczyć* nasze Polki *gospodarstwa*. Ale Panie Nakwaskie postępują. Jedna chce przesadzić drugą; a że *Pani* ta, co to *Polkom* od *Francuzek* rozumu uczyć się każe, palmę nad mdlemi romansami téj damy, któréj ma *zaszczyt być synową*, osiągnęła, to pewna! Na *grzeczności*, które z współpracownikami i drukarzami swego dziełka, a expisarkami Tygodnika z r. 1838., które nazywają Redaktora *lekkomyślnym*, *złośliwym* i Bóg wie jak, nie odpowiadamy; bo Pani autorka podobno *ładna*, a Redaktor z *takiemi* damami nie lubi wojny prowadzić.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w poniedziałek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *E. Günthera* w Lesznie.